

zima wczesna i wiosna zmienna, to przymrozki, to upały. Z tego nieurodzaj *generalis* w całym powiecie.

Nie był tylko pewny, które to zboże najmniej urodziło. Gdy to rozważał, drugi rezydent, starszek skurczony w sobie i pomarszczony, w żupanie niegdyś czerwonym, istny suszony grzyb, szepleniąc bezzębnymi wargami, złościł się z boku:

— Co waspan wiesz, co waspan mi tu będziesz *discussionem* tego, mospanie, a ja ci powiadam...

Matka wypyttywała się o różnice munduru kapitańskiego od porucznikowskiego:

— Wszystko taksamo, proszę mamy, tylko epolety odmienione, bo u porucznika znajduje się czerwona część na taśmie epoletu, a kapitanowie jej nie mają — wyjaśnił syn.

Oczy całego stołu obróciły się na mundur artylerzysty.

— Parada, — rzekł ojciec z półśmiechem, — jest jedną z namiętności ludzkich i nie najłabszą. Na niej, jak na sznurku, umieją królowie prowadzić na śmierć tłumy spokojnych ludzi.

Dyrektor Bielski, nauczyciel chłopców, młodzieniec surowy i poważny, z wygoloną, chudą twarzą, z białą chustką na szyi, w obszernym surducie ciemnym, podniósł nieruchome, gorące spojrzenie na pana Kleszewskiego i odpowiedział z szacunkiem i tłumioną zapalczywością:

— Bywają jednakże okoliczności, gdy obywatele sami za broń chwytają w słusznej sprawie.

— Jedno nie wyklucza drugiego, — odparł noblaźliwie stary pan. — Parady różnej bywają formy. W posiedzeniach trybunału równie dobrze to widać, jak w wojsku. W każdej zresztą funkcji, gdzie jeden występuje wobec wielu w atrybucjach czemkolwiek określonych. Wynika stąd, że parada jest przyrodzoną potrzebą ludzkiej natury z jednej strony i generalnym charakterem ludzkich stosunków z drugiej. Co zresztą odnajdujemy w przepisach obyczajów równie jak w przepisach kościelnych. Prostota rzeczy i rozumu nigdzie nie może dojść do głosu, wszędzie ustępując kroku obwijającej wszystko parady.

Matka odezwała się z łagodną wymówką, równym głosem:

— Czyż to tak łatwo iść za prostym rozsądkiem, jeśli nawyknięcia co innego doradzają?

Te słowa zachmurzyły ojca, co Ignacy zauważył ze zdziwieniem, jak i nagłe zmieszanie Antosi, której oczy błysnęły łzawo, a twarz w jednej chwili oblała się gorącym szkarłatem. Znikł on powoli, jak łuna na przepływającym obłoku.

Dyrektor Bielski, ze zmarszczką pionową na zamyślonym czole, przerwał chwilową ciszę, nie zauważywszy jej:

— To co pan dobrodziej nazwał paradą, wydaje mi się, co się tyczy urzędów, być wciąż winną przez obywateli innym, publiczną godność piastującym. Znamie to wolnego kraju i oświeconego narodu, gdy do przestrzegania ustaw innego przymusu nie potrzeba, jak część i szacunek obywateli dla prawa. Taki był duch prawa polskiego, to w niem rozumienie o człowieku, czem słusznie chlubić się możemy ponad inne narody i konstytucje, człowieka wedle tej zasady: „*homo homini lupus*” uważające.

Ileć dyrektor zabierał głos, ruchliwa twarz Antosi nieruchomiała, jakby ją ogarniała kamienna obojętność. Spojrzenie tonęło sztywnie w jakimś punkcie obrusa. Gdy wśród rozmowy oczy jej dotknęły postaci lub tylko strony, gdzie siedział dyrektor, uciekały płochliwie na bok i wystrzegały się ruchu.

Pan Kleszewski uśmiechnął się na słowa młodzieńca, wysłuchał ich z uznaniem i odpowiedział przychylnie:

— Są to czysto rzymskie słowa, panie Wiktorze, ale ci starożytni w swych mniemaniach raczej poetami byli, niż filozofami. Weź to zdanie Katona: *orator est vir bonus, dicenti peritus*. Chcieli oni wiedzieć w życiu to, co ułożyli w uszy jako słuszne.

Wielkie jest podobieństwo, że świat w ich wieku podobnie wyglądał, jak w naszym, ale oni go nie widzieli i my go widzieć nie chcemy, zwłaszcza póki nas niesie młodość i ochota.

Bielski poruszył się. Widać było, jak gorąco

rzecz bierze, po błysku ciemnych oczu i po ruchu ręki, muskającej czoło i włosy. Odrzekł przejętym, głękokim głosem:

— Wszakże i w starożytności różne znamy epoki sławy i upadku, zmiany i przewroty. I porównując starożytne dzieje rzymskie z dzisiejszymi, widzimy, że wszystko się zmienia okrom cnoty i zbrodni.

— Jak można porównywać! — wyrwał się Ignacy z błyszczącymi oczyma. Czy był kiedy czas taki, jak nasz? Czy był kiedy wojownik równy Napoleonowi, albo wojsko! Wojsko takie, jak nasze, albo francuskie, albo inne sprzymierzone! Tamto wszystko to są księgi i bibuła, a my jesteśmy dopiero na prawdę...

— A Aleksander? — spytał Bielski.

— Aleksander! — lekceważąco zawołał Ignacy. Już dyrektor zbierał się odpowiedzieć, gdy stary pan, słuchający pobłaźliwie, rzekł:

— Pokój, pokój, mości panowie.

I odchyliwszy się od stołu, zawołał:

— Tekluniu!



— A tyś pewnie zgłódniały, Ignasiu?

Dziewczynka zerwała się od boku madame i przybiegła stanęła przy ojcu.

On pogładził jej włosy i powiedział:

— Śpiewaj.

Był to codzienny zwyczaj po kolacji.

Ojciec oparł się ręką o stół i patrzył przed siebie. Stołownicy uciszli się.

Teklunia chwilę myślała, spuściwszy głowę. Potem podniosła ją i zaczęła czystym jak kryształ, dziecinny głosem, przejmującym niespodzianie, jak coś dawno znanego, zapomnianego już, czy jeszcze nie zbudzonego w najgłębszych warstwach myśli i czucia:

W zielonym gaju słowiki śpiewają,
A mego Jasieńka, a mego miłego
Na wojnę wołają...

Jedzie Jasio, jedzie, koni osiodłany,
A kiedy ty wrócisz, a kiedy ty wrócisz,
Jasiu mój kochany...

Matka trzymała nieruchomo oczy, aby nie spadły z nich łzy, których były pełne. Wszyscy słuchali niemi. Przyszedł pomiędzy nich duch poległych, przyciągnęła najżałośniejsza ze wszystkich boleść rozstania.

Dziewczynka milkła na chwilę po każdej zwrotce, i spuszczała oczy jakby dla skupienia się i namysłu. I po chwili znów podnosił się jej głos przejmująco, czysty, prosty, wzruszający dziecinnością:

Nie płacz, Maryś, nie płacz, nie żałuj tamtego,
Jedzie nas tu tysiąc, jedzie nas tu tysiąc,
Wybierz se innego.

A choćby was było jak na morzu piany,
Ja żadnego nie chcę, ja żadnego nie chcę,
Gdzie mój Jaś kochany...

V.

Pracowano w ogrodzie na grzędach, pod kierunkiem szafarki, Maryny. Dziewki i wyrostki kopali ziemię i zgrabiali równo zagonki. Antosia stała przy szafarce. Dzień był pochmurny, ale ciepły, słodki, cichy. Ptactwo szczebiotało zewsząd zapamiętałe. Ignacy był w głębi ogrodu i szukał z zajęciem oczyma w trawie rozkwitłych fijołków. Ujrzał, że Antosia idzie ku niemu.

— Tu jeszcze nie zakwitły, — powiedziała mu, doszedłszy. — Ale pod starymi jabłoniemi...

— Ja tylko tak patrzę, — odparł Ignacy nieco sztywnie, dotknięty tem, że go siostra traktuje zbieraniem kwiatków.

Antosia uśmiechnęła się trochę zmieszana, ale nie odchodziła.

— Powiedz mi, co tu się naprawdę dzieje? — spytał Ignacy serdeczniejszym tonem.

— Właśnie chciałam — szepnęła.

Szli pomału dróżką nieco błotnistą, między rzędami wiśni puszczających młodzieńskie listki. Słychać było krzyki szafarki i pianie kogutów z daleka.

— No, mów!

Antosia, zawahawszy się chwilę, powiedziała:

— Wszystko zrobił wuj Marcin...

Był to przyrodni, starszy brat matki.

— Jakto? — spytał Ignacy. — W tej administracji, co to po dziadku? Antosia potwierdziła.

— Od tego się zaczęło. Teraz tatuś ma bardzo dużo długów, nie wiem ile, ale bardzo dużo. Mamiu posag jest ubezpieczony na Strzelcach, więc wuj Marcin koniecznie chce, żeby mama te sumy zachowała, a żeby tatuś ogłosił bankructwo...

— Co? — spytał Ignacy, którego nagle oblało gorąco jak war. — Tatuś, bankructwo?

— Ach Boże, Ignasiu, nie tak głośno!...

— Skąd ty to możesz wiedzieć? — zapytał kapitan szorstko. — Słyszałaś coś i popłatałaś.

— Gdybym popłatała! — rzekła z goryczą. Myślałam, że ty co poradzisz. Gdyby Tadzio tu był, — ale jego niema! Może ranny, tak dawno nie pisał.

— Jakto, i wuj chce, aby tatuś ogłosił swoją niewypłacalność?

— Wuj Marcin mówi, — odrzekła panienka, twardo przyciskając nazwę

wuja, — że w ten sposób można uratować sumy mamine.

— Za tę cenę! — zawołał Ignacy.

Wszystkie te nowiny waliły mu się na głowę, nie wierzył w nie, nie chciał w nie wierzyć. Umilkł. Chciał i bał się pytać o matkę. Czuł, że tu musi być klucz. Wreszcie spytał, obojętnie patrząc na pączki nachylonej gałęzi wiśniowej:

— A mama...

— Ja nie wiem, — odpowiedziała mu prędkim szeptem Antosia. — Mama napewno... — Niepodobna... Nigdyby przecież...

— Jak ty możesz pytać! — zwróciła się nagle z wyrzutem i rozdrażnieniem do brata, — to wszystkiemu wuj winien, on wszystko to ułożył, on wszystko sprowadził!...

Mówiła ze łzami w oczach, z uniesieniem.

— Antosiu! Jak ty mówisz! — zdziwił się Ignacy. Nie poznawał jej. Skąd tyle stanowczości, taka śmiałość sądenia w tej dziewczynce zawsze tak łagodnej, miłej, uprzejmej, o jedwabnej miękkości w postępowaniu?

(Ciąg dalszy nastąpi).